

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno - literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Wielki „tam - tam” dyskusji na temat reformy studiów polonistycznych

W pierwszym zeszycie „Marchołta”, kwartalnika poświęconego sprawom literatury i kultury, ukazał się artykuł Profesora U. J. Stefana Kołaczkowskiego o konieczności reformy uniwersyteckich studiów polonistycznych.

Artykuł ten wywołał w znacznej części prasy ożywioną dyskusję, można zatem zapytać, czy słusznie? Zasadniczo odpowiedź na pytanie wypadnie twierdząco. Zważyć bowiem należy, że sprawy wychowania i metod nauczania nie zostały w odrodzonej Polsce na tyle ustalone, aby nie miały stawać się raz po raz przedmiotem koniecznej dyskusji publicznej.

W odniesieniu jednak do artykułu Prof. Kołaczkowskiego w „Marchołcie” (i następnych artykułów w „Kurierze Porannym”) nasuwają się pewne zastrzeżenia.

Jak wiadomo, Prof. K. występuje przeciw „dyktaturze” językoznawców w dziedzinie studiów polonistycznych. Oni to — jego zdaniem — „narzucają swoje rzady” polonistycy, nadając jej niewłaściwy kierunek, oni też uprawiają „sabotaż” (dosłownie!) koniecznej reformy studiów polonistycznych.

Otóż stwierdzić należy, że każdemu kto w okresie kilku ubiegłych lat brał jakiś taki udział w życiu organizacyjnym studentów polonistyk i zna trochę chociażby organizację studiów polonistycznych — atak prof. K. na językoznawców musi wydać się dość niezwykłym. Przedewszystkiem dlatego, że sprawa, poruszona przez prof. K. została już gruntownie przedyskutowana przed przeszło 4 laty na IV-tym zjeździe Kół Polonistycznych w Krakowie. Co więcej, wyniki szczegółowej dyskusji zjazd krakowski ujął w formę uchwał, które przedłożono wszystkim Senatowi Wyższych Uczelni, oraz Ministerstwu WR i OP.

Szkoda zatem, że Prof. Kołaczkowski który o tem wszystkim doskonale jest poinformowany, bo pomagał nawet niżej podpisanemu w redagowaniu uchwał zjazdu, nie popchnął radykalnie sprawy naprzód przez poruszenie jej na forum Senatu U. J. Jeżeli jednak Prof. K. zdecydował się na poruszenie sprawy reformy studiów polonistycznych w drodze dyskusji publicznej, to: 1) wywodom swoim niezgodnie z istotnym stanem rzeczy nadał piętno oryginalności, 2) niepotrzebnie słuszne i trafne swoje uwagi obciążał bagażem inwektyw: wymyślał pod adresem językoznawców, przez co samo zagadnienie reformy uniwersyteckich studiów polonistycznych może tylko ulec zaciemnieniu.

„Należy wobec tego krótko wyjaśnić, jak się obecnie przedstawia

ORGANIZACJA TYCH STUDIÓW

W porównaniu z okresem przedw-

jennym zaszła jedna zasadnicza zmiana. Studenta obowiązują tzw. egzaminy magisterskie. W okresie czterech (zasadniczo!) lat studiów, polonista winien zdać osiem takich egzaminów (plus końcowy egzamin pisemny), które obejmują: 1) dział gramatyk, 2) historię literatury polskiej i 3) przedmioty pomocnicze.

W dziale pierwszym obowiązują trzy egzaminy magisterskie: z gramatyki opisowej staro - cerkiewno - słowiańskiej, z gramatyki opisowej polskiej i z gramatyki historycznej języka polskiego, wraz z dialektyką.

W dziale drugim (a więc zasadniczym dla polonisty) obowiązują dwa egzaminy z historii literatury polskiej, przyczem pierwszy (tzw. „mały literacki”) obejmuje — prócz historii lit. w zakresie gimnazjalnym — poetykę i stylistykę, drugi zaś dokładną znajomość hist. literatury i pogłębienie jednej z jej epok.

Dział trzeci zawiera egzaminy 1) z historii Polski, 2) z filozofii (plus logika i psychologia), 3) z jednej literatury obcej.

Pobieżna choćby analiza przytoczonego wyliczenia egzaminów magisterskich, jakie zdać student polonistyk, dowodzi, że w programie studiów polonistycznych językoznawstwo zajmuje pozycję uprzywilejowaną — i to o tyle bardziej, iż prócz trzech egzaminów obowiązują polonistę ćwiczenia, seminarja, prace pisemne i wykłady językoznawcze. Ten szeroki program studiów językoznawczych wymaga dwóch lat solidnej pracy. A przecież w okresie tych dwóch lat trzeba równocześnie uczęszczać na ćwiczenia i seminarjum (niższe) literackie, napisać odpowiedne prace i uczęszczać na odpowiednie wykłady z literatury, aby w czterech latach ukończyć studia!

Tak więc polonista na pogłębienie studiów literackich, a zatem istotnego przedmiotu swoich zainteresowań, oraz na zdobycie potrzebnych do egzaminu wiadomości z przedmiotów pomocniczych, ma zaledwie dwa lata!

Dodać ponadto należy, iż ściśle uzależnienie studiów literackich od językoznawczych idzie aż tak daleko, że student, który nie zdał egzaminu z gramatyki historycznej, nie może być przyjęty na wyższe seminarjum literackie.

INNE WADY DOTYCHCZASOWEGO PROGRAMU

Uprzywilejowanie językoznawstwa w programie studiów polonistycznych jest tem jaskrawsze, że nie uwzględnia on należycie przedmiotów pomocniczych. Tu trzeba całkowicie zgodzić się z uwagą prof. Kołaczkowskiego, że podobnie jak rolnictwo bez gleboznawstwa chemii, botaniki i t.d., jak medycyna bez

anatomii, fizjologii, fizyki, chemii byłaby niczem — tak samo i czysto „literacka” nauka o literaturze jest fikcją. Literatura musi — pod grozą wyjątkowania i degeneracji — czerpać pojęcia ogólne i problematy z innych nauk, a więc z filozofii, psychologii, estetyki, socjologii i t.d. Niestety, program studiów polonistycznych nie tylko, że nie uwzględnia tego postulatu w koniecznym stopniu, ale pomija nawet tak zasadniczą i organicznie z nauką o literaturze związaną gałąź wiedzy, jak historia kultury (której etykieta tylko widnieje oficjalnie w tytule egzaminu z historii Polski).

I jeszcze jedno, o czem prof. Kołaczkowski wspominał tylko. Chodzi mianowicie o wadliwą metodę podawania polonistycy wiedzy. Dotychczas punkt ciężkości nauczania spoczywa na wykładach, na które student uczęszcza lub nie. Zależy to od jego pilności, humoru, sercowego interesu („randka”) itd. — oraz od wymagań profesora. W najlepszym razie (t. zn. jeżeli student jest pilny) system wykładowy sprzyja biernemu przyjmowaniu wiedzy.

Nie więcej. A to, rzecz jasna, nie wystarcza.

PLAN REFORMY STUDIÓW POLONISTYCZNYCH

Mając na uwadze wymienione (i niewymienione dotąd) wady programu studiów polonistycznych, przedyskutowaliśmy je naprzd w lwowskim Kole Polonistów Studentów U. J. K., a wyniki dyskusji ujęliśmy w szereg konkretnych wniosków, mających na celu reformę istniejącego stanu. Wnioski te zaaprobował Kurator Kola, Prof. Juliusz Kleiner, i z kolei w dniu 2 listopada 1930 roku stały się one przedmiotem obrad komisji organizacyjnej IV Zjazdu Kół Pol. w Krakowie, a w dniu 3. 11. zostały uchwalone jako wnioski ogółu studentów - polonistów. Dodać przytem należy, że w obradach nad tą sprawą brali udział Prof. Nitsch i Prof. Kołaczkowski.

W przedłożonym Ministerstwu WR i OP oraz Senatowi wszystkich Wyższych Uczelni wnioski nasze brzmiały następująco:

I) Celem przeprowadzenia selekcji studentów należy: a) wprowadzić **kolokwium wstępne** dla kandydatów do proseminarium literackiego i b) żądać od nowowstępujących na polonistykę wykazania się znajomością **jednego z języków obcych**. (Termin tego ostatniego wyrażania można przesunąć na koniec I. r. studiów — przyp. autora).

II.) W programie studiów polonistycznych uwzględnić należy w szerszym, niż dotąd zakresie, **historię kultury**.

III.) Należy połączyć egzamin z historii literatury (tzw. „mały literacki”) z końcowym egzaminem z literatury w **jeden egzamin**. Miejsce pierwszego

egzaminu winno zająć **kolokwium z hist. literatury polskiej z uwzględnieniem materiału ćwiczeń proseminaryjnych**.

IV.) Egzamin z gramatyki opisowej języka staro - cerkiewno - słowiańskiego należy połączyć w **jeden egzamin z gramatyką opisową języka polskiego**.

V.) Należy zwiększyć ilość ćwiczeń proseminaryjnych, przy równoczesnym proporcjonalnym zmniejszeniu godzin wykładowych, — a to w celu przeniesienia punktu ciężkości studiów z wykładów na ćwiczenia, które a) daą możliwość poznania studenta przez profesora, b) skłaniają studenta do czynnego udziału w pracy, podczas gdy system wykładowy sprzyja biernemu tylko przyjmowaniu wiedzy.

VI.) Przeprowadzić należy reformę w dotychczasowym systemie prowadzenia seminarjów, zmierzającą do **zogniskowania dyskusji na jednym temacie**, który — podzielony uprzednio na szereg szczegółowych zagadnień — zostałby opracowany przez wszystkich członków seminarjum. Reforma ta ma **zapobiec biernemu przysłuchiwaniu się referatom seminarijnym**, opracowywanym dotąd przez każdego studenta na inny temat, co poprostu uniemożliwiało reszcie seminarzystów **nałężyte przygotowanie się do dyskusji**.

VII.) Ścisłej, niż dotąd, należy przestrzegać, począwszy od trzeciego roku studiów, **specjalizacji studenta**, polegającej na **wyborze**: bądź szerzej pojętej historii literatury i socjologii, bądź nauki o literaturze i estetyce, bądź filozofii i psychologii, itd. — pogłębienie bowiem studiów **bez pewnego ograniczenia specjalizacji** nie jest w zasadzie osiągalne.

VIII.) Usunąć należy z dotychczasowego programu egzaminów restrykcję, polegającą na tem, że przyjęcie na wyższe seminarjum literackie **uzależnia się od uprzedniego złożenia egzaminu z gramatyki historycznej języka polskiego**.

CZTERY LATA MINĘŁY...

Przytoczony projekt, który pozytywnie załatwia sprawę reformy studiów polonistycznych, można uzupełnić tym lub owym szczegółem, w zasadzie jednak nie wymaga on większych zmian. Zrezygnować powinni się co do tego wypowiedzieć aktywni poloniści (profesorowie i studenci) którzy muszą kuć żelazo, póki gorące.

Trudno oczywiście przewidzieć, jaki będzie efekt tej wznowionej po czterech latach dyskusji. Głębie biurk „czynników oficjalnych” są przepaściste...

WŁADYSŁAW PAŃCZAK

P. S. W dotychczasowej dyskusji na uwagę zasługują głosy Prof. Kleinera i Kaden - Bandrowskiego. Omówimy je innym razem.

Oszczepem, strzelbą i piórem

Wśród współczesnego bractwa św. Huberta słychać narzekania, że polowania w tym roku nie dopisały. Zajęte wytepiła motyllica, dziki dla braku śniegu, na „czarnej stopie” otropić trudno, jednym słowem myśliwym nie dobrze się wiedzie. A starsi myśliwi dodają, że wogóle teraz nie to, co „dawniej”. I zwierzyny coraz mniej i coraz większy brak prawdziwych myśliwych, chociaż polujących jest coraz więcej.

Takie narzekania to jednak nic nowego. Już bowiem w 17-tym wieku skarżono się, że „za Króla Kazimierza było dużo zwierz, a dopiero teraz niema”. Miała bowiem Polska swój złoty wiek myślistwa, wtedy gdy:

Puszcza szumiała od ptactwa i zwierz
I z Bogiem jeszcze nie było przymierza.

W owych to dawnych czasach i przez cały szereg wieków później, zwierzyna była jednym z bogactw kraju. Według Długosza karmiono zdobyczą myśliwych całe drużyny rycerskie, a solona lub wędzona zwierzyna płynęła okętami na handel zamorski. Przed każdą większą wyprawą wojenną król zarządzał wielkie łowy na grubszą zwierzynę. Zabijano wówczas setki żubrów, turów i jeleni i solono ich mięso. Tak uczynił Król Władysław Jagiełło przed bitwą pod Grunwaldem, a później Stefan Batory, gdy na Moskwę się wyprawił. Oczywiście polowano jedynie na grubszą zwierzynę i ta tradycja myśliwska przetrwała przez długie lata. Nawet Wojski w „Panu Tadeuszu” mówi, że jeszcze za jego czasów

„w języku strzeleckim
Dzik, niedźwiedź, łoś, wilk zwany był
zwierzem szlacheckim.
A zwierzę nie mające kłó, rogów, pazurów,
Zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów

Tenże sam Wojski wspominając o sławnym myśliwym „starej daty”, wojewodzie Niesiołowskim, mówi:

O! lat tylu siedzi, jak mnich na swym dworze
Nikt go na polowanie zaprosić nie może.
Białopiotrowiczowi samemu odmówił!
Bo cóżby on na naszych polowaniach łowił?
Piękna byłaby sława, ażeby pan taki,
Wedle dzisiejszej mody, jeździł na szaraku!

Jest w tem jednak pewna przesada. Nawet bowiem tak wielki myśliwy jak król Stefan Batory, w czasie wyprawy na Połock i Iłków, kierując osobiste ruchami wojsk, nie miał czasu na większe łowy, codziennie jednak o wschodzie słońca wyjeżdżał na zające, chcąc przynajmniej tem marnem polowaniem zaspokoić swą żylkę myśliwską. Zaś Władysław IV również zapalony myśliwy, będąc chory na nogi i nie mogąc się ruszać, kazał się wozić do zwierzynicy Ujazdowskiego pod Warszawą i tam strzelał do królików, nie mając innego zwierzka pod ręką.

Były to jednak wyjątkowe wypadki. Na ogół, w dawnej Polsce polowanie z fletą na szaraki i ptactwo pozostawiano białogłowom, które już wówczas nie gardziły rzemiosłem łowieckim, a szlachcie jeździł już polował na tak marną zwierzynę, to jedynie z chartami lub sokolami. Czasem jednak i białogłowa potrafiła dotrzymać placu rycerzom w łowach na grubszego zwierzka. Exemplum choćby taka Jagienka, o której pisze Sienkiewicz w „Krzyżakach”: „Na szybkim srokaczku sadziła ku nim, siedząc po męsku

dziewczyna z kuszą w rękę i oszczepem na ulecach. Polowały nawet królowe. W łowach na żubry towarzyszyła zawsze swemu mężowi królowi Augustowi III jego małżonka. Zasiadała na wywzieszeniu w ogrodzeniu, do którego napędzano żubry i jak pisał baron Brinsken, jeden z zaproszonych przez króla gości:

„Królowa podczas całego polowania zajęta była czytaniem książki i tylko jakby od niechcenia strzelała od czasu do czasu, nie chybiając nigdy. W ten sposób zabiła 20 żubrów.”

Natura! nie takiego ułatwionego polowania, bardzo zbliżonego do dzisiejszych polowań z „ambony”, nie można porównywać z dziańskimi wyczynami Jagienki. Były to też wówczas czasy pewnej dekadencji rycerskiej iężyny.

Niewątpliwie bowiem ta rycerska fantazja stała się jednym z powodów rozpowszechnienia się łowiectwa w dawnej Polsce, a zamilowanie Polaków w niebezpieczeństwie dodawało uroku polowaniom. Minęły prędko te czasy, gdy polowano jedynie dla korzyści, dla zdobycia mięsa, cennego futra, lub też dla samoobrony przed drapieżcami. Łowiectwo stało się stopniowo szlachetnym rzemiosłem rycerskim i przywilejem wyłącznym szlachty, stało się, jakbyśmy dziś powiedzieli, „sportem”. W ślad za tem poszło dość wczesne wydanie rozmaitych przepisów, ograniczających prawo polowań do pewnych terminów. Prawa takie wydał już Władysław Jagiełło w roku 1420, zastrzegając, iż polować wolno jedynie w czasie od św. Bartłomieja (24 sierpnia) do św. Wojciecha (22 kwietnia). Przyznać jednak trzeba, że do tych przepisów szlachta polska niebardzo się stosowała i nie trzymała się terminów.

Osobista odwaga, siła i rycerska żężyna były w przeciwieństwie do dzisiejszych czasów nieodzownymi warunkami dobrego myśliwego. Jako łbronia w łowach na grubego zwierzka posługiwano się zrazu wyłącznie oszczepem lub też kuszą, rodzajem łuku na drewnianej ramie, napinanego korbą. Broń palna na łowach weszła dość późno w użycie. Z taką to prymitywną łbronią polowano na potężne tury, żubry, niedźwiedzie, dziki, łośie lub jelenie.

O niebezpieczeństwie takich łowów wspomina Długosz, który opisując pewne polowanie na żubry w puszczech Usedomskich, tak pisze:

„Książę Bolesław, ubiwszy wiele zwierząt, żubra jednego rzadkiej wielkości i dzikości, poruszył z kniei, w której się ukrywał. Bestja, uchodząc przed szczekaniem psów i oszczepami rycerstwa, wyrwała się spomiędzy wszystkich zasadzek i przypadkiem wpadła na cześnika Sieciecha. Ten za rzecz sromotną uznawszy uciekać lub kryć się wobec Księcia Bolesława i innych patrzących towarzyszy, zeskoczywszy z konia, oszczepem dzielnie przyjął bestję. Lecz gdy żelazem bez skutku uderzył, padł na ziemię, aby wściekłości bestji tem leżeniem uniknąć. Ale żubr, który wedle swej natury i obyczaju leżących najuporczywiej napastuje, Sieciecha naprzód raciami, potem rogami ugodził i w powietrze wysoko wyrzucił, jakby jaką piłkę wielokrotnie rzucił, na koniec w krzaki i ciernie potłuczonego i nawpół żywego cisnął.

Polska, kraj tak bardzo rycerski, słynęła z wień dzielnych myśliwych wśród których było i kilku królów. Oprócz wspomnianego już Bolesława Krzywoustego zamilowanym myśliwym był również Kazimierz Wielki.

Pośrednio polowanie stało się też przyczyną jego zgonu. W pościgu za jeleniem spadł bowiem z konia i zadał sobie ranę w nogę, w następstwie czego wywiązała się gorączka spowodowana zakażeniem. W dwa miesiące po tym wypadku król Kazimierz zakończył życie. Śmiercią myśliwego zmarł również król Stefan Batory. Podczas łowów w okolicy Grodna miał otwartą ranę na nodze, a zimno i zmęczenie na łowach rozjątrzyło ją i spowodowało gorączkę, z powodu której król zmarł w kilka dni. W łowach kochał się król Władysław Jagiełło, wołąc bawić na Litwie, gdzie było więcej zwierzyny niż w Koronie. Polowali również Władysław IV, Jan Kazimierz, Sobieski, obaj Sasowie.

Znakomitych myśliwych, nie ukoronowanych, miała Polska bardzo wielu, aż do ostatnich czasów. Stwierdza to Wojski w „Panu Tadeuszu”, mówiąc:

„Miejcie też wzgląd, powinnym dla mych włosów siwych,
Bo znałem większych dawniej, niżli wy, myśliwych.
Gdzie jest dziś taki strzelec, jak szlachcic Żegota,

Co kulą z pistoletu w biegu trafiał kota?
Terajawicza znałem, a idąc na dziki,
Nie brał nigdy innego oręza, prócz piki,
Budzewicza, co chodził z niedźwiedziem w zapasy:
Takich mężów widziały niegdyś nasze lasy!

Zapewne z jeszcze większą goryczą mówiłby Wojski o dzisiejszych czasach i o współczesnych myśliwych, którym — z nielicznymi wyjątkami — zależy przeważnie na zdobyciu rekordów strzeleckich.

Żyłka myśliwska Polaków znalazła dość bogate odbicie w literaturze, począwszy od najdawniejszych czasów, a skończywszy na dobie obecnej. Prócz dawnego oszczepu i późniejszej strzelby zmobilizowano również w tych rycerskich zapasach i pióro. Już historyk Długosz opisuje nieraz w swych kronikach sceny myśliwskie, bardzo barwne i z dużą znajomością rzeczy. Jakób Haur, pisarz z drugiej połowy 17-ego wieku, podaje w swej „Ekonomice ziemiańskiej” rozmaite rady dla myśliwych. Píše mianowicie o trzech pożytkach myślistwa:

„Pierwszy, że zdrowia dodaje, z głowy wypędza melancholję, czerstwym czyni. Drugi pożytek że zwierzynę dla spiżarni i skrzyżosabia. Trzeci że wilka szkodliwego nietylko myśliwska trąba, ale także charcia pogon daleko od dziedzica wystrasza.”

Ostroróg, pisarz 17-tego również wieku tak ocenia myślistwo w swej książce pt. „Myślistwa z ogary”:

„Nie trzeba mieć myślistwa za łada co, zawdy to uczciwa zabawka między rycerskie zabawki”.

Jest to pierwsze fachowe dzieło poświęcone łowiectwu.

O łowach pisał Marcin Bielski, poeta Tomasz Bielawski, który w kilka lat po śmierci Batorego napisał poemat, królowi poświęcony pt. „Myśliwiec”. Maciej Sarbiewski, opisując wierszami łowy Władysława IV, Konowicz, Morstyn i wielu innych poetów. Nieocenioną dla myśliwego wartość przedstawiają „Pamiętniki” Paska.

W najnowszych dopiero czasach literatura „myśliwska” osiągnęła najwyższe szczyty doskonałości i rozwinęła się zadziwiająco. Są to prace bądź czysto fachowe bądź też beletrystyczne. W niektórych opisy łowów występują często tylko epizodycznie, jak np. w „Krzyżakach”, wprost nie-

zrównany opis łowów na tura i niedźwiedzia. Wspaniałe również opisy takich polowań na niedźwiedzia z fletą w pojedynkę, dał nam Witkiewicz w „Na przełęcz”, oraz Adolf Dygasiński, wyborny znawca życia zwierząt, w „Godach życia”.

Najlepszą polską powieścią, par excellence „łowiecką” o bardzo wysokiej wartości artystycznej jest niewątpliwie „Soból i Panna” Weyssenhoff. Wybitną wartość literacką posiadają i mile są każdemu kochającemu przyrodę i łowiectwo książki przedwcześnie zmarłego Juliusza Eysmunda, rasowego myśliwego i utalentowanego pisarza. Obok tych dwóch asów polskiej literatury łowieckiej, posiadamy całe mnóstwo nermródów opisujących barwnie swe przeżycia myśliwskie. Wśród nich wymienić należy Dyakowskiego, Korsaka, Pelczyńskiego, Rzewuskiego, Sapieha, Giżyckiego, Badeniego. Polującym literatem i podobno niezrównanym strzelcem, co to już z niejednym lwem w życiu się spotkał, i każdego krokodyla na sto metrów w oko trafia, jest wreszcie i Ferdynand Ossendowski.

Jest rzeczą ciekawą, że wszystkie te książki myśliwskie, mają nawet w dzisiejszych tak ciężkich dla wydawców czasach, duże powodzenie i zbyt. Czyżby to była ta tradycyjna i tak bardzo rozpowszechniona polska żyłka myśliwska? Już bowiem Klonowicz we „Flisie” wspomina:

„Gdy raz myśliwskiej polewki zakusi,
Już ten językiem ich mówić musi”.

H. LUBIENSKI

Ilość więźniów w Hiszpanji

Jak wiadomo, Hiszpanja przeszła pod koniec roku zeszłego potwornie krwawą rewolucję, w której przewrotowcy i zwolennicy rządu mordowali się wzajemnie, czasem nawet z wyrafinowaniem okrucieństwem. W związku z tem nastąpiły represje i zapełniły się więzienia. Gazety ogłaszają interesującą statystykę. Liczba więźniów wynosiła z początkiem r. 1934 11 tysięcy. W przeddzień wybuchu wzrosła już była do 16 tysięcy, a po kilku dniach wojny domowej podwoiła się prawie, osiągając cyfrę 16 tysięcy.

Hiszpanja ma 21½ miliona mieszkańców, Polska 32 milionów. Niechże teraz ktoś odpowie na pytanie, dlaczego w chwili obecnej jest w niej aż 52 tysięcy więźniów — bez żadnej rewolucji (dzięki czemu do porównania nadawałaby się właściwie cyfra 16 tysięcy).

Jak zające wędrują

Podczas wielkiego polowania w Babinapusztu w południowych Węgrzech zastrzelono zająca, który miał przytwierdzoną do ucha małą metalową tabliczkę. Na jej podstawie stwierdzono, że należał on do transportu żywej zwierzyny, wysłanej w r. 1931 z Węgier do Niemiec dla podniesienia tam zwierzośtanu. Wypuszczono go na wolność w okolicy Berlina. Lecz szarak widocznie źle czuł się w Pruszech i tęsknił do kraju, w którym się urodził. Ażeby dostać się do niego z powrotem, musiał przebyć szereg rzek, szczególnie Dunaj (zapewne przepłynął się w nim po lodzie), jedno wysokie pasmo górskie i terytorium trzech państw. W ciągu niecałych czterech lat odbył tę wędrowkę.

Śmierć Napoleona

W związku z zamieszczonym w poprzednim dodatku artykułem „Na wyspie św. Heleny” dajemy jeszcze jedną, świeżo ogłoszoną relację o zgonie Napoleona.

Tysiące tomów spisano o Napoleonie, wyszukano i wydano tysiące dokumentów, odnoszących się do niego, a przecie jeszcze wciąż wychodzą na światło dzienne nowe, cenne przyczynki. Listy cesarza do Marii Ludwiki sprzedano w grudniu w Londynie za 15 tysięcy funtów. W tymże miesiącu ogłosił „Sunday Times” list szkockiego oficera, który z 20 pułkiem piechoty należał do załogi wyspy św. Heleny w chwili zgonu wielkiego człowieka. Pisząc do matki, opisał on wszystkie wrażenia i spostrzeżenia, związane z tym tragicznym wypadkiem. W relacji swej nazywa cesarza raz jenerałem B. (w użyciu rodowego nazwiska, nakazanem przez władze angielskie, przebijając się tendencją poniżenia więźnia), raz Napoleonem (skrząc imię na Nap), ale w liście przebiega się cześć dla geniusza i głębokie wzruszenie wobec jego tragedji.

W ostatnich dniach kwietnia 1821 lekarze uznali stan cesarza za beznadziejny i natychmiast wysłano do Anglii okręt z wiadomością. Pośpiech był taki, że porucznik Duncan Darroch nie miał czasu napisać listu, powetował to sobie dopiero, gdy wyprawiono drugi okręt z wieścią o śmierci Napoleona.

Od wieczora 2 maja leżał on nieprzytomny. 3-ego członkowie rady zarządzającej wyspą otrzymali rozkaz, aby byli każdej chwili gotowi udać się do Longwood i być świadkami skonań cesarza. Musiało przecież zależeć Anglii i całemu św. przymierzu, aby śmierć była stwierdzona ponad wszelką wątpliwość. Mógł zjawić się jakiś samozwaniec, zresztą sama legenda, że wielki wódz żyje, mogła doprowadzić do niebezpiecznych zakłóceń.

Rano tego dnia cesarz odzyskał przytomność i poznawał obecnych, ale wkrótce znów wrócił do dawnego stanu. Kończyny zaczęły ziębnąć. O 11 godzinie 5 maja dano admirałowi statku wojennego, przygotowanego do podróży, sygnał, że rozpoczęła się agonja. Na 10 minut przed 6-tą, w chwili, gdy zachodziło słońce, nastąpił koniec. Natychmiast zgromadzili się urzędowe osoby — gubernator, sztab angielski, komisarze rządu francuskiego. Pokój obito kirem, zaczęły się też poszukiwania za płasteliną paryską dla zrobienia maski pośmiertnej. Podobno nie było jej dosyć na wyspie i musiano użyć cementu rzymskiego. W rozkazie dziennym ogłoszono, że Napoleon umarł, że pogrzeb odbędzie się z honorami wojskowymi pod kierownictwem jenerała Montholon, a ciało będzie można przedtem oglądać.

Towarzystwo oficerów angielskich, wybierających się na to nawiedzenie, zebrało się następnego dnia już o godz. 4-ej. W pierwszym pokoju zastano tylko paru służących, w drugim, w którym umarł cesarz, hrabinę Bertranda, widocznie osłabioną i z czerwonymi powiekami. Mówiła, że nie spała 6 dni i 6 nocy, że nie ma sobie nic do wyrzucenia, ponieważ choroba była nieuleczalna, że wreszcie klimat wyspy nie wywarł tu żadnego wpływu, ponieważ Napoleon umarł na raka w żołądku — na to samo, co jego ojciec.

Hrabiną była bardzo grzeczna dla oficerów angielskich. Trzeba jednak

powiedzieć, że klimat mógł przyczynić się do choroby i jej szybkich postępów. Był on tak niezdrowy, że po śmierci cesarza część wyspy, którą zajmował, pozostała niezamieszkaną, a domki, a raczej budki, które oficerowie pobudowali dla swej służby, stały się bezużyteczne, jak pisze porucznik Darroch. Straciły wartość i zapasy żywności, przygotowane przez kupców, a konie, kupione po 70 funtów, sprzedawano po 10.

W trzecim pokoju, w swej dawnej jadalni, leżał na żelaznym łóżku położem — ściśle wedle swoich zarządzeń — „jenerał B.” w pełnym mundurze, zielonym z czerwonymi wyłogami, w stosowanym kapeluszu, w wysokich butach z ostrogami i szpadą przy boku. Pierś zdobiły liczne orderki. W głowach stał jen. Bertrand w grubej żałobie, przy łóżku klęczał ksiądz, a służący oganiał muchy — on jeden był osobą, dającą znaki życia w tym przybytku śmierci.

Wyraz twarzy cesarza był spokojny i pogodny, Darroch stwierdza nawet,

że widać w niej było odwagę i piękność. Zwrócił również uwagę na delikatność rąk. Kształtny nos Napoleona zadrapano przy układaniu ciała.

„Widzieć człowieka” — mówił dalej porucznik, — „który tyle wywołał zmiętu w Europie i wogóle na świecie, leżącego w małej izdebce, w wojskowym uniformie i na położym łóżku, z dwoma tylko z jego jenerałów obecnymi — było to coś okropnego; tak mnie ten widok uderzył, że byłbym parzył na niego godzinami, byłbym ujał jego dłoń i ucałował, lecz zaledwie śmiałem oddychać. Przyglądając się, wyobrażałem go sobie w różnych sytuacjach, w których był — pod Lodą i pod Marengo” (pod Lodą, gdzie Napoleon pod piekielnym ogniem sam prowadził swą piechotę na słynny most, i pod Marengo, gdzie wygrał bitwę, która wyglądała już na zupełną klęskę). „I rzeczywiście, choć byłem może niecałych 10 minut w pokoju, więcej myśli tłoczyło się do mej głowy, wypychając jedną drugą z równą szybkością, jak się rodziły, niż mogę dziś spisać”.

Ród hecarzy

Stanley Lupino, potomek rodu dziedzinnych klaunów, napisał dzieło własne i swych prostoplastrów pod fascynującym tytułem „Od dyb do gwiazd”. Genealogia sięga do czasów Elżbiety, kiedy pierwszy Lupino przywędrował do Anglii. Wylądował w Plymouth i poszedł piechotą do Londynu, niosąc na plecach małego synka, przywiązane go dobrze, aby mu nie upadł. Nie umiał jeszcze słowa po angielsku, ale prędko zaczął bawić widzów mieszaniną ich języka z własnym. Synek wyrósł już na Anglika. Przyszli jednak dla hecarzy złe czasy. Purytanie usiłowali wykorzenić wszystko, co ludzi bawiło. Zamknięto teatry, a wędrownych wesołków ścigano, jak zbrodniarzy. Lupino II parokrotnie dostał się do więzienia za pobudżanie do śmiechu, siadywał też w dybach — była to bardzo rozpowszechniona kara wymierzana włóczęgom.

Lecz sławny ród klaunów miał we krwi swoje powołanie. Sztuki akrobaticzne, sposób wywoływania wesołości samym ubiorem i charakterystyczną, zapas kawałków przechodziły z Ojca na syna. Przyszł wiek XIX, kiedy już nie ścigano Lupinów jako wagabundów i często udawało się im uzyskać engagement do jakiegoś teatryku, czasem w samym Londynie. Poza tem jednak walczyli się po prowincji, często przymierając głodem. Zarobki ich nawet w dobrych czasach były skromne. Cała rodzina, złożona z 10 osób otrzymywała za swe występy tygodniowo 14 funtów. Dzieje George’a Lupino łączą się z Teatrem Królewskim Birmingham. Tam się urodził — ledwie nie na scenie. Matka miała czas schronić się do garderoby. Wiadomość o tych niekonwencjonalnych urodzinach rozeszła się po sali i publiczność zaczęła wołać: „Pokazać go!” Tym sposobem George wystąpił na scenie już w pierwszej godzinie swego klaunowskiego żywota, czem chyba nie mógł pochwalić się nikt inny na świecie.

Był jednak moment, kiedy zrażony biedą, sprzeniewirzył się tradycji i osiadł na małym gospodarstwie. Nie mógł długo wytrzymać i z radością wrócił do dawnego zawodu. Licząc lat siedemdziesiąt trzy, wchodził w skład stałych pracowników Teatru Królewskiego w Birmingham. Pewnego wieczoru czuł się niedobrze, ale ze zwykłą werwą odbył swój występ. Po przyjściu do domu, dostał ataku apoplektycznego i umarł do kilku godzin.

Był to ojciec Stanley’a. Widocznie

w rodzinie była także tradycja przychodzenia na świat w niezwykłych miejscach. Pewnego dnia r. 1894 żona George’a Lupino wybrała się na sprawunki. Działo się to na ulicy, która wtedy nazywała się Petticoat Lane (Ulica Spodnic), lecz później została przechrzczona. Pani Lupino poczuła się niedobrze i wzięła fiakra, zanim jednak dojechała do mieszkania, już synek był na świecie.

Cieżkie miał dzieciństwo. Matkę stracił w szóstym roku życia, na drugi dzień po jej pogrzebie zabrano za długi całe urządzenie mieszkania. Wtedy to ojciec spróbował zostać rolnikiem. Ale nie wytrzymał. Był niestrudzony. Pewnego razu — w Teatrze Królewskim Birmingham — zdobył rekord światowy i wygrał zakład, robiąc jednym ciągiem 210 pirnetów. Co dziesiąty był podwójny, a muzyka zmęczyła się, grając popularną piosenkę, którą sobie George zadysponował. Zresztą towarzyszył jej śpiewem.

Lupinowie lubili także kawały. Brat Stanley’a Barry wynajął sobie taksówkę i kazał jej stanąć przy wejściu do teatru, poczem wskoczył do niej z okna. Kuzyn jego Lupino Lane wywrócił w ciągu czterech minut 300 kosiółków — bez żadnego zakładu, tylko dlatego, że ktoś powątpiewał, ażeby to potrafił. Sam Stanley mówi, że nieraz mało sobie nie połamał kości, ćwicząc się w sztukach akrobaticznych, ale „doprowadza zakłady pogrzebowe i spółki ubezpieczeniowe do rozpacz”. A pokazywać sztuki trzeba było czasem i dwanaście razy na dzień.

Pewnego razu przed Kennigton Theatre zajeżdżała dorożka, z której wysiadł znany komik Dn Leno. Z nabożeństwem przyglądał mu się kilku małych obszarpanców. Artysta uległ naglej fantazji i rzucił jednemu z nich pół korony. Obdarowanym był Stanley Lupino, który od tam uwielbiał swego dobrodzieja. Przypominał mu ową hojność, gdy występował z nim razem Stanley wogóle jako dziecko lubił wystawać pod teatrami. Pewnego razu kreślił się koło wejścia na scenę Gaiety Theatre, a zobaczawszy afisz z nazwiskami kilku znanych artystów i artystek, dopisał na nim niezgrabnymi kulasami: „Stanley Lupino”. Zobaczył to stary portier Gupp, skrzyknął malca i odpędził. Stanley występował później w Gaiety, ale nic nie mówił. Dopiero gdy nazwisko jego figurowało na pierwszym miejscu afisza, odezwał się raz: „A wie pan, Gupp, że mnie man raz odpędził z pod

Cesarza złożono w czterech trumnach — cynowej, ołowianej i dwóch drewnianych, ale ciało można było oglądać jeszcze 17 maja, kiedy porucznik Darroch był komendantem straży. Wszedł wtedy do pokoju i choć zapach był już zabijający, długo trzymał w ręku „dłoń, którą całowali królowie”. Nigdy w życiu nie widział twarzy spokojniejszej i pogodniejszej — tylko policzki i usta nabrały sinej barwy, a rysy stężały.

Jeden z lekarzy pokazywał Darrochowi żołądek i serce cesarza, złożone do srebrnej urny. W żołądku widniała dziura, która spowodowała śmierć. Była taka, że można było w nią było włożyć mały palec.

Serce i żołądek posłano do Europy. Resztę zwłok pochowano, wedle przedśmiertnego rozporządzenia Napoleona w miejscu, zwanem „Djabelską Wazą Ponczową”. Porucznik Darroch odszedł ze swym pułkiem do Indji. List — drugi, opisujący szczegółowo pogrzeb, przechowywano w jego rodzinie, aż dopiero obecnie pozwolono go wydrukować. Lecz porucznik postarał się o relikwie wielkiego człowieka — kosmyk włosów i kawałek bandażu, zabarwionego krwią podczas sekcji. Co się z temi pamiątkami stało, „Sunday Times” nie podaje. W. T.

teatru?” Gupp „omiał nie spaść z krzesła”.

Brat Stanley’a Marek był przed wojną znanym komikiem. Wzięto go do wojska. Pewnego razu granat roztrząsał jego motocykl na kawałki, ale Markowi nic się nie stało. „Mój Boże”, zawołał on, podnosząc się z ziemi „i niema tu widzów, co by klaskali!” Niestety wkrótce potem dzielny komik doznał zatrucia gazem — i stracił głos. Gdy wystąpił w Londynie, słyszano go — mimo strasznych wysiłków — jedynie w pierwszych rzędach. Po tem fiascu nie mógł już dostać engagement. Naprawdę chodził po różnych agencjach i dyrekcjach. Przyszedł raz do teatryku, który niegdyś płacił mu ogromną gażę. I tu usłyszał stereotypowe słowa „U nas przepelnienie”. — „Dobrze, będę występował jako tenor w Queen’s Hall” (tj. w jednej z największych sal londyńskich).

Dyrektor Drury Cane, Artus Collus, był dobronumy człowiekiem, ale miewał dni złego humoru, gdy go dreczył artetyzm. Zresztą odrazu można było poznać po minie, że będzie burza. Odbywała się raz próba na scenie. Widząc Stanley’a Lupino w długim płaszczu, dyrektor zgniewał się: „Proszę zrzucić ten przeklęty płaszcz, przyjdź bliżej i ruszać się”. Klaun przystąpił do Collusa i pokazał mu, że pod płaszczem ma tylko podartą bieliznę. Dyrektor wyrwał z notatnika kartkę papieru, napisał na niej coś i podał Stanley’owi, mówiąc: „Pokaż mi się wieczorem, mój chłopcze”. Kartka była zaadresowana do znanego krawca i zawierała prócz podpisu lakoniczne słowa „Dwa garnitury, palto, wszystko, czego mu będzie potrzeba”.

Lupino i drugi znany klaun, Will Evan, występował w jakiejś pantominie i autor przyszedł do Collusa ze skargą, że nie umieją ról. „No mam nadzieję”, odparł dyrektor, „to całe pańskie szczęście”. Umieci bowiem obaj swemi kawałkami, nieraz improwizowanymi, ożywić rzecz słabą i zapewnić jej powodzenie.

Lupino występował raz w Drury Lane jako Buttons (od widocznych guzików na kostjumie). Skarżył się komicznym tonem, że go nikt nie kocha. „Ależ ja cie kocham, Buttons” zawołała jakaś mała dziewczynka z łoża.

Córka Stanley’a jest artystką filmową i spodziewa się zostać gwiazdą. Stąd druga część tytułu jego książki.

A. E.

Mikroskop i promienie ultrafioletowe

Nauka współczesna posługuje się mikroskopem w bardzo szerokim zakresie. Czyto idzie o nauki przyrodnicze i medyczne (biologia, bakteriologia, histologia), czy o nauki techniczne, jak metalurgia, — mikroskop jest instrumentem niezbędnym w każdej pracowni.

Nie dziw zatem, że starano się o udoskonalenie tego instrumentu, dochodząc na tem polu do ostatecznych granic możliwości. Ale granice te istnieją — i żadną miarą przekroczyć ich nie można. Uwarunkowane są one samymi właściwościami fal świetlnych z jednej strony (zjawisko tzw. refrakcji), a zdolnością akomodacji oka z drugiej strony.

W rezultacie — jak doświadczenie poucza — powiększenie w stosunku 1:1200 stanowi to maximum, do którego technika mikroskopowa może dojść. Przy powiększeniu silniejszym obraz staje się zamazany, kontury się zlewają, tak, że praktycznie nie daje to żadnych korzyści.

Trzeba było zatem szukać innego, sztucznego źródła światła. I tu w pierwszej linii zwrócono uwagę na promienie ultrafioletowe, o krótkich falach świetlnych. Jasną jest bowiem rzeczą, że równoległe ze zmniejszeniem się długości fali świetlnej zmniejsza się analogicznie i zjawisko refrakcji.

Podjęte na tem polu przed sześciu laty doświadczenia amerykańskiego fizyka Fr. Lucasa, przy pomocy zakładów Zeissa, doprowadziły do skonstruowania nowego typu mikroskopu z zastosowaniem promieni ultrafioletowych. Nie nadaje się on do obserwacji gołym okiem: uzyskany obraz musi być wyświetlony na specjalnie czułej kliszy fotograficznej, — co jednak nie przeszkadza, że można tą drogą dojść do odkrycia wielu szczegółów, niedostępnych dla oka w zwyczajnym mikroskopie.

Źródłem promieni ultrafioletowych w takim mikroskopie są elektrody skonstruowane z kadmiu lub z cynku. Długość fal wysyłanych przez takie elektrody waha się między 2300 a 2750 angstroemów (jeden angstroem odpowiada jednej dziesięciomilionowej milimetra). W praktyce stosuje się fale długości 2750 angstroemów, jako najlepiej odpowiadające celowi.

Promienie ultrafioletowe przechodzą przez soczewkę sporządzoną z kwarcu, poczem zapomocą odpowiedniego pryzmatu kwarcowego zostają skierowane do mikroskopu.

Mikroskop taki oddaje nieocenione usługi przede wszystkim w przemyśle metalurgicznym, przy badaniu rozmaitych aliaży i stopów metali. Posiada zaś tę wyższość nad zwyczajnym mikroskopem, iż daje powiększenia w stosunku 1:1800, a więc o 50 procent większe od dotychczasowych.

Teoretycznie możnaby go jeszcze udoskonalać, stosując coraz krótsze fale świetlne. Praktycznie jednak okazuje się to niemożliwym, promienie bowiem o fali krótszej niż 2000 angstroemów ulegają absorpcji atmosferycznej.

Wynalazek ten zainteresował naturalnie również i przyrodników i lekarzy, o ile idzie o badanie skrawków żywej tkanki lub komórek. Tu jednak natknęli się na nową przeszkodę: promienie ultrafioletowe działają na żywą tkankę destrukcyjnie. Działanie to przy długości fali 2750 angstroemów jest jeszcze stosunkowo dość powolne i pozwala na

utrwalenie obrazu na kliszy. Przy krótszej fali jednak materia organiczna ulega tak szybkiemu rozkładowi, że już po paru minutach obraz uzyskany pod mikroskopem ulega zasadniczej zmianie i deformacji.

Tak przedstawia się stan badań i zdobyczy na tem polu w chwili obecnej. Technika mikroskopowa zrobiła znów

olbrzymi krok naprzód. I znowu stanęła wobec — zdawałoby się — niezdobytej przeszkody.

Ale geniusz ludzki nie ustaje w swej pracy twórczej. Pozostają przecież inne jeszcze, a jak liczne źródła krótkich fal świetlnych, — przede wszystkim promienie X o długości fali 2 do 0.1 angstroemów. Mikroskop posługujący się takimi falami posiadałby siłę 5000 razy

większą od naszych najlepszych aparatów.

Jak dotychczas nie udało się ich stosować praktycznie, nie znamy bowiem dotąd żadnego materiału, któryby zdolny był promienie te odbijać, nie absorbując ich zupełnie. Skutkiem tego jest rzecz niemożliwą uzyskać w polu widzenia mikroskopu obraz zapomocą tych ultrakrótkich promieni świetlnych.

Kto wie jednak, czy już najbliższe lata nie przyniosą nam i na tem polu jakiej niespodzianki. (R)

Czy istnieją „mateczniki”?

Pamiętamy dobrze ów przepiękny opis matecznika w „Panu Tadeuszu”. Ten tajemniczy, niedostępny ludziom „smentarz”, do którego spieszy wszelki zwierzę raniony lub chory, by umrzeć w swych ojczystych stronach.

I dochodzi Mickiewicz do ostatecznego wniosku, że

„w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Abstrahuje od samego opisu matecznika, w czem poeta mógł snadnie popuścić wodze fantazji, — zastanówmy się nad sensem cytowanego powyżej dwuwiersza. „Martwych zwierząt kości” można jednak znaleźć czasem w głębi lasu. Al są to kości zwierząt, które nie zginęły śmiercią naturalną, lecz padły ofiarą jakiegoś wypadku.

Tak np. znajdowano szkielety dwóch rogaczy, które w czasie wiosennego „poisdynku” tak się splątały rogami; że nie mogąc się rozłączyć zginęły wkońcu z głodu i wycieńczenia. Znajdowano kości postrzelonego dzika czy sarny, która zaszyła się w głąb lasu, by tam dokończyć życia.

Ale próżno szukalibyśmy kości zwierzęcia, które zginęło śmiercią naturalną.

Uczony naturalista znajdzie wyjaśnienie tej zagadki: na to istnieje przecież cały szereg „grabarzy” poczynając od maleńkich robaków aż do olbrzymich sępów, hyen i szkali, które spełniają sprawnie i szybko swą pracę, tak że po paru już godzinach pozostaje tylko nagi szkielet. Słońce i deszcze robią też swoje: następuje zupełny rozkład materii organicznej.

Zasadniczo racja. Ale przecież nie wszystko ginie bez śladu, nie wszystko ulega rozkładowi. I jeżeli można natknąć się czasem na rogi jelenia czy kły dzika, który zginął np. od kuli, — to gdzie się podziwiają rogi zwierząt, które zginęły śmiercią naturalną?

Jeszcze trudniejsze do rozwiązania jest to pytanie w odniesieniu do dzikich mieszkańców dżungli. Trudno sobie wyobrazić, by np. potężne kły słonia, czy rogi antylopy lub bawoła mogły ulec zupełnemu rozkładowi i zniknąć bez śladu. A jednak nikt ich nigdy nie znalazł.

I jeszcze jedno: wielkie drapieżce, lwy, tygrysy, przynoszą nieraz do jaskini, w której mają legowisko, upolowaną zwierzynę. Kości tej zwierzyny znajdowano niejednokrotnie, nawet po kilkuset czy po tysiącach lat. Nigdy jednak nie znaleziono w jaskini kości samego drapieżcy.

Wedle Mickiewicza „zwierz chory” spieszy do matecznika, by tam w ciszy i spokoju dokonać życia. Wynikałoby z tego, że zwierzę ma pełną świadomość swego stanu. Czuje się starym, niezdolnym do walki o byt, niezdolnym do stawienia czoła swym liczny wrogom. Zagrzebuje się tedy w najciemniejszy kąt lasu i tam, zrezygnowane, czeka ostatniej godziny.

Tu jednak nasuwają się poważne wątpliwości. Każde żyjące stworzenie posiada przecież potężny instynkt życia, instynkt niezmierzony, nakazujący mu bronić się wszelkimi siłami przed groźbą śmierci. Instynkt ten nie da się żadną miarą pogodzić z bierną rezygnacją, z wyczekiwaniem nadchodzącego końca bez jakichkolwiek prób ratunku.

A jeżeli zwierzę, wiedzione tym instynktem, próbowałoby się ratować przed śmiercią, — to śmierć ta zaskoczyłaby je niejednokrotnie w miejscach łatwo dostępnych.

Jednem słowem — stoimy tu przed zagadką, której najteżsi naturaliści dotychczas zadowalniająco rozwiązać nie zdołali.

A mickiewiczowski opis matecznika dowodzi, że poeta i temi zagadnieniami żywo się interesował, co więcej, że musiał je gruntownie studjować. (R)

Giełda wodna

Wyspy Kanaryjskie czarują oczy Europejczyka niesłychanym bogactwem swej flory. Obok przepięknych kwiatów, obok krzewów szkarłatnych róż, ciągną się rozległe winnice, plantacje bananów drzew migdałowych, figowców, tytoniu, — rozrzucone na zboczach gór i dawno wygasłych wulkanów.

Jeden to olbrzymi ogród, — duma i źródło dochodu mieszkańców, — ale też i źródło niestannych trosk, owoc niesłychanych wysiłków.

Bo na wyspach tych brakuje dwóch zasadniczych rzeczy: ziemi i wody. Trzeba tedy było ziemię transportować okrętami, by pokryć nią nagie i nieurodzajne zbocza górskie.

I trzeba ją starannie podlewać, prawie jak kwiaty w doniczce czy w skrzynce stojącej na balkonie.

A wody brakuje. Rzadkie, krótkotrwałe opady deszczowe, ani w przybliżeniu nie dają potrzebnej ilości wody. Więc szuka się tej upragnionej wody, wierci się studnie, rozprowadza się ją kanałami po całej wyspie.

Woda jest tam prawdziwą królową, jest skarbem, jest prosto towarem, za który się drogo płaci.

Dzięki temu wyspy Kanaryjskie posiadają instytucję, której podobnej nie znajdzie nigdzie na świecie.

Jest to istniejąca w Arucas „giełda

wodna” na której codziennie, o szóstej rano, ustala się „kurs” bieżący wody z dnia na dzień.

„Wielkim kapitalistą” czyli prosto właścicielem tego niezwykłego towaru jest stowarzyszenie nazywane „Heredad de Aguas de Arucas y Fingas”.

Członkowie tego stowarzyszenia „herederos”, to mieszkańcy, którzy drogą kupna czy spadku stali się współwłaścicielami wielkich rezerwoarów, wodnych, zbierających wodę, sprowadzaną kanałami, nieraz z odległości 20 kilometrów.

I podobnie jak kapitał zakładowy każdej spółki akcyjnej podzielony jest na drobne akcje, — tak samo i ci udziałowcy „wodni” posiadają jedną lub więcej akcji, zwanych „azada”. Jedną taką azadą reprezentuje dwunastą część ogólnej ilości wody mieszczącej się w rezerwoarze. I jak na giełdzie efektów akcje, — tak samo i taka „azada” może stanowić przedmiot handlu, przyczem cena kupna jednej „azada” dochodzi nieraz do poważnej sumy 60 tysięcy pesetas.

Na giełdzie zawiera się jednak inne drobniejsze, codzienne transakcje. Przedewszystkiem ustala się co dnia cenę wody, — zależnie od zapotrzebowania, a więc od stanu pogody, i ilości opadów deszczowych. Cena ta dochodzi w latach posuchy do 5 pesetas za metr sześcienny,

Po ustaleniu ceny zaczynają się właściwe transakcje, polegające na zakupie pewnej określonej ściśle ilości wody, z dostawą o oznaczonej porze. Brzmi to trochę dziwnie, — ale w praktyce przedstawia się zupełnie prosto.

Główny zbiornik zaopatrzony jest w cały szereg słuz i urządzeń pomiarowych. Biegna od niego kanały mniejsze i większe, rozgałęziające się na wszystkie strony. Wystarczy zatem podniesienie odnośnej słuzi, by pewna ilość wody — ściśle odmierzona! — spłynęła do kanału, skąd znowu, zapomocą rozmieszczonych gęsto słuz, dostaje się na pola nabywcy.

Nie brak i tam spekulantów giełdowych. W miesiącach zimowych, a więc deszczowych, kiedy zapotrzebowanie na wodę jest małe, a ceny niskie, — zakupuje się znaczniejsze ilości wody i magazynuje się ją w rezerwoarach, by w lecie odsprzedać z dużym zyskiem. Jest to zatem pewnego rodzaju „paskarstwo”, na które pozwalają sobie mogą tylko zamożniejsi, rozporządzający gotówką i własnymi zbiornikami.

Samo stowarzyszenie korzysta też skwapliwie z takiej okazji, by powiększyć swój „kapitał zakładowy”: każdy deszcz to dla niego prawdziwy „deszcz złota”, bo woda, zbierana starannie w rezerwoarach, sprzedana zostanie w lecie na giełdzie.

Przedsiębiorstwo całe, oddawna już istniejące, prosperuje doskonale, — a udziałowcy „herederos” poświęcają corocznie duże sumy na odkrywanie nowych żył wodnych, budowę kanałów i zbiorników. (kr.)

Wierzę w jednego Boga

„Hymny strzeliste“ Michała Pawlikowskiego*)

Poezja religijna jest stara, jak świat; nieje od chwili, kiedy człowiek po raz pierwszy powiedział słowo: „Boże!“. — Na najwyższe stopnie artysty wzniosła się religijna poezja chrześcijańska. „Te Deum laudamus“ św. Ambrożego, jak „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?“ Jana Kochanowskiego, to objawy tej samej, wiecznej żywej tęsknoty ludzkiej duszy za Twórcą wszechrzeczy. Ze owa tęsknota, zakwitająca w literaturze polskiej wspaniałymi strofami Kochanowskiego, Mickiewicza i Kasprówicza, żyje wiecznie w polskiej duszy do dnia dzisiejszego, świadcząc o wydany niedawno zbiór hymnów M. Pawlikowskiego „Wierzę w jednego Boga“. — Kiedy wczytamy się w tę książkę, gdzie jesteśmy? Nigdzie. Znikła przestrzeń, znikła czas, ogarnia nas wieczność. Mało tego. Powoli znikamy my sami, jako jednostka. Zostaje tylko w nas i dokoła nas wieczny, potężny i wciąż potężniejszy, nieodmienny Bóg:

„Potęgi wiecznej pełny, Bóg mój
a Bóg nieśmiertelny!“ (str. 14).

I już odkryliśmy niezwykłą wartość hymnów Pawlikowskiego: wysunięcie na pierwszy plan nie siebie, nie człowieka (choć to przecie poezja najbardziej osobista) ale Boga, Tego, którego owe hymny wielbią. To właśnie odróżnia poezję Pawlikowskiego od religijnych strof Mickiewicza, a przede wszystkim Kasprówicza, że u niego sprawy ziemskie, metafizyczne bóle jednostki ludzkiej nic nie znaczą:

„Już nie przychodzę ze sprawą, z
żadną moją marną sprawą człowieczą
— wszystkie mi one z rąk podniosio-
nych ku Tobie przez palce leca...“
(str. 9).

Cały horyzont myśli i uczuć poety
zajmuje tylko i wyłącznie Bóg. Jeśli
zapomni o czemś ziemskim, to chyba o
Polsce:

„Już widzę łańcuchy gór, widzę
już białe miasta... i już podemną Pol-
ska, moja własna Polska się rozrasta!“
(str. 16).

Pierwszy też to chyba poeta polski,
który wielbi Boga nie tylko wśród gór,
majestat Boży obrazujących, ale nad
polskim morzem:

„Bądź pochwalony morzem, co
chryże, a zadumane w bytu przelewie,
ciche a pełne gwaru, w pustce bez-
miarnej o brzegi białą pospiewało pianę
— o Hel, o Rozewie, i o Pomorze, i o
Rujane, fala po fali, coraz dalej... i
jeszcze... i jeszcze dalej...“ (str. 12)

Tak pięknego zespolenia siły mor-
skiej z poezją religijną jeszcze w polskiej
poezji nie mieliśmy. Zadziwia u Pawli-
kowskiego przedziwny spokój duszy, za-
wsze godny owych przestrzeni kosmicz-
nych, do jakich jego hymny nas wpro-
wadzają. Kiedy u Kasprówicza była
prawdziwa walka z Bogiem, bunt i
złotym toczon o szczęście ludzi.
To, że na świecie włada zło i grzech,
walka, dodajmy, zakończona rezygnac-
ją (ukojeniem), u Pawlikowskiego walki
z buntu niema, nie z jakiejś słabości
dusza, nie skutek umiłowania mart-

woty i statyczności, ale wobec faktu, że
tam, gdzie mowa

o Bogu, „w którym tonie pierwsze i w
którym tonie ostatnie pytanie, któryś
wszystko stworzył z niczego, kiedyś
rzekł: Niech się stanie!“.

tam boleści ludzkie znikają w oddali, bo
wszystko ogarnia potężna Wiara i po-
tężniejsza od niej Miłość. W hymnach
Pawlikowskiego dostajemy gotowy re-
zultat szeregu procesów poetyckich,
które znane są tylko poecie i nie ujrzały
światła dziennego. Tam, w duszy, mo-
gła być walka, tu, w poezji jest już
pewność. Tam mogło być inaczej, tu
jest tak, jak być musiało. Człowiek-poeta
zachwycony usiłuje stanąć wobec Boga.
zbrojny w siłę swego natchnienia i
przejrzeć Jego istotę. Stary to problem
w historii poezji religijnej i może nic tak
dobrze nie charakteryzuje typu twór-
czości poetyckiej, jak owa próba zgłę-
bienia niedołącznym ludzkim odczuciem
Boskiej Istoty. Dlatego warto porównać
owo określenie Boga u Pawlikowskiego
z podobnym, choć stworzonym zapomo-
cą przenośni, określeniem Boga u Mic-
kiewicza. Oto u Mickiewicza w wier-
szu „Arcymistrz“ znajdujemy:

„Jest Mistrz, co wszystkie duchy wziął
do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru.
Wszystkie żywioły naclagnał jak struny,
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku:
A świat dotychczas nie pojął jej wtku.“

U Pawlikowskiego zaś (str. 10):

„Tyś jest nieskończoność i wiecz-
ność... Tyś jest jak Greków ocean zam-
knięty dokoła nas. W Tobie się zwi-
chrza czas i płynie w strony obie. Dla-
tegoś jest nieodmienny i dlategoś jest
nieśmiertelny...“

Aby teraz poznać, na jakie drogi, a

raczej bezdroża, zesła u niektórych po-
etów powojennych poezja religijna, war-
to przytoczyć ustęp z „Hymnów“ Józe-
fa Wittlina, wydanych w r. 1920, zawie-
niający także pewne określenie Boga:
(Hymn nad hymnami str. 64, 65).

„Czuje, że jesteś, jeno mnie nie sły-
szysz, bo śpisz, znużony ogromnem
ojcostwa i śpisz na puchu z archaniel-
skich piór i odpoczywasz w cieniu
gałęzi drzewa poznania;

A Cherubini nad Twą śniącą głową
różdżkami z palmy odganiają muchy
wszelakich ludzkich tęsknot i modli-
tew... I śpisz... — — —

— Zbudź się!!“ —

Sądze, że obcość takiej poezji dla
polskiej duszy odczuje każdy. I nie mo-
żna się zbyt dziwić. Człowiek, który
jak Wittlin, w innym ze swych „Hym-
nów“ mówi bluźnierczo o Bogu:

„O, Panie! — — —

Tyś najpiękniejszym naszym wynalaz-
kiem ze wszystkich ludzkich wynalazków. Spraw, żebyś żył!“

taki człowiek nie może nam wogóle
dać tego, czego w poezji religijnej szu-
kamy.

Ta dygresja wittlinowska tem lepiej
uwidocznia nam piękno i wartość „Hym-
nów“ Pawlikowskiego. Trzeba też pod-
kreślić u niego jeszcze jedną, bardzo
znamienną cechę: Pawlikowski jest po-
etą nawskroś katolickim; wiara jego w
poezji jest mocna i żywa. Gdy przeczy-
tamy taki fragment:

„Czyż to myśl stworzyła z la-
mentów niczego, z bezczasu i bezprze-
strzeni ciszę pełną muzyk i jasność
pełną koloru, a białą, jak w Tajemnicy
Sakramentu, gdy Ciało z chleba się
stało?“ (str. 12).

to czujemy odrazu, że tak przedziwnie
połączyć w poezji tajemnicę Najświęt-

szego Sakramentu z istnieniem Boga
mogła tylko wiara żywa i miłość gorą-
ca. Tu nasuwa się znów pewne porów-
nanie z Kasprówicem. Kasprówicz, syn
ludu, miał mocną wiarę we krwi; do
tej wiary wrócił w „Księdze Ubogich“
i „Moim świecie“ pod koniec życia, ale
była ona u niego jakże konkretna! Zna-
lazła też piękny, a niezapomniany wyraz
w Panu Bogu z „Mojego świata“, gwa-
rzącym w postaci gazdy z dwoma sta-
ruszkami.

U Pawlikowskiego natomiast zna-
rodową kulturę religijną i filozoficzną.
Czasem aż ma się ochotę przypuścić, że
na „Hymny“ Michała Pawlikowskiego
złożyło się szereg pokoleń rodziny Pa-
wlikowskich, wierzących i umierających
ze słowami „Wierzę w jednego Boga“.
Dzięki tym drzemającym w duszach tylu
pokoleń uczuciom religijnym, mogły
„Hymny“ Michała Pawlikowskiego za-
błysnąć subtelnością i kosmicznością,
pewną abstrakcyjnością, zmieszaną z sil-
ną konkretnością przyrody. Bo Bóg w
„Hymnach“ nie jest abstrakcją czystą,
jest istotą wprawdzie duchową, ale oso-
bową, różną od stworzonej przez się
natury. I w tem także staje się Pawli-
kowski wyrazicielem wiary Kościoła
katolickiego.

Ale dość już analizy. Zbierając po-
przednio omówione cechy „Hymnów“,
można powiedzieć, że wiara i filozofia
podały sobie w nich ręce, aby stworzyć
piękne dzieło poezji religijnej. Forma
wiersza, przystosowana znakomicie do
treści, przynosi zaszczyt poecie.

Ogłoszony niedawno w „Myśli Naró-
dowej“ fragment dalszych „Hymnów“
Pawlikowskiego o Matce Bożej, wska-
zuje, że polska poezja religijna wznosi
się znów na wyżyny. „Wierzę w jedne-
go Boga“ stanowi w dziejach tej poezji
piękną i wartościową kartę.

Witold Nowosad.

Czy gruźlica jest zaraźliwa?

Zagadnienie to, oddawna zresztą
zasadniczo rozstrzygnięte, stało się od
jakiegoś czasu przedmiotem żywej
dyskusji w której zabierają głos wy-
bitni zagraniczni internści.

Wysuwana przez niektórych leka-
rzy teza streszcza się w tem, że gru-
źlica jest zaraźliwa tylko dla dzieci, —
ludziom dorosłym natomiast nie grozi
prawie żadne niebezpieczeństwo z prze-
bywania stałego w towarzystwie gru-
źlików.

Dla poparcia tej tezy przytaczają
cyfry statystyczne zebrane w szpita-
lach, sanatorjach i klinikach: zarówno
wśród służby sanitarnej jak i wśród le-
kanzy, którzy ciągle stykają się z cho-
rymi na gruźlicę, procent zakażenia się
bakteriami gruźlicy jest stosunkowo
bardzo niski. Chociaż więc teoretycznie
gruźlica jest niewątpliwie chorobą za-
kaźną, — to jednak praktycznie, w ży-
ciu codziennym i w normalnych wa-
runkach, niebezpieczeństwo zakażenia
jest minimalne.

Jak to wytłómaczyć? Zwolennicy
tej tezy sięgają do analogii. Wiadomo
powszechnie, że dur (odra) jest choro-
bą zakaźną. Przechodzą ją wszystkie
prawie dzieci, — natomiast człowiek
dorosły, który przechodził tę chorobę
w dzieciństwie, — nigdy prawie nie

ulega wtórnemu zakażeniu. Mamy tu
zatem do czynienia z typową immuni-
zacją organizmu.

Otóż podobnie ma się sprawa i z
gruźlicą. Małe dziecko, czyto w mie-
ście, czy na wsi, styka się z gruźlikami
na każdym niemal kroku, narażone
jest na inwazję bakterij.

Na szczęście kończy się zazwyczaj
na lekkiej tylko infekcji; zdrowy orga-
nizm dziecka normalnie rozwiniętego i
należycie odżywianego opiera się zwy-
cięsko chorobie. Kończy się na lekkiej
gorączce, ogólnym osłabieniu i prze-
ściowym ubytku na wadze.

Objawy te, nieraz nie zauważone
lub zbagatelizowane, znikają po pew-
nym czasie. Jako jedyny ślad pozosta-
je nieznaczne powiększenie gruczołów
limfatycznych na szyi, które w pew-
nych przypadkach doprowadzić może
do ich zropienia, pociągając za sobą
konieczność operacji.

I dziwna rzecz: liczne obserwacje
lekarskie wykazały, że właśnie osoby,
które przechodziły podobną operację,
nigdy nie zapadają na gruźlicę płuc.

Z powyższego nasuwa się wniosek,
że organizm, który przeszedł za mło-
du zwycięsko takie pierwsze zakaże-
nie, — staje się odpornym przeciw dals-
szym.

A zakażenie pierwsze przechodzi
niemal każdy człowiek. Stwierdzić to

można bez trudu zapomocą tzw. re-
akcji Pirqueta. Zwłaszcza w więk-
szych miastach, centrach przemysło-
wych próba Pirqueta daje niemal stale
wynik pozytywny co dowodzi, że mi-
nimalny tylko odsetek ludzi nie uległ
w wieku dziecięcym czy młodocianym
pierwшему zakażeniu bakteriami gru-
źlicy zakażeniu z reguły zlokalizowa-
nemu w obrębie gruczołów limfatycz-
nych.

Analogia jednak między gruźlicą a
odra nie jest kompletna. Gdy bowiem
dur (odra) jest chorobą zakaźną o pe-
wnym określonym czasie trwania, —
gruźlica jest chorobą chroniczną. Za-
rązki jej nie znikają z organizmu, żyją
niejako w stanie utajenia. W sprzyja-
jących okolicznościach, gdy organizm
skutkiem jakiejś innej choroby, prze-
męczenia, nadmiernych wysiłków staje
się mniej odpornym, — zarązki mogą
się rozmnożyć gwałtownie i choroba
wybuchu nieoczekiwanie z całą gwał-
townością.

Choć więc zasadniczo zostało stwier-
dzone, że osoby u których próba
Pirqueta wypadła pozytywnie, są bar-
dziej odporne na ponowne zakażenie
pratkami gruźlicy, — to jednak zaka-
żenie takie zawsze jest w sprzyja-
jących warunkach możliwe. I dlatego nie
wolno nam rezygnować ze wszystkich
stosowanych ogólnie środków ostro-
żności w walce z tą chorobą, porywają-
cą rokrocznie tysiące ofiar. (kr.)

*) Michał Pawlikowski: „Wierzę w je-
dne go Boga“. Poemat z „Hymnów strze-
listych“ pierwszy. Medyka 1934. Nakładem
biblioteki medycznej. — Skład główny
„Domu Książki Polskiej“ w Warszawie.

Alma Mater Leopoliensis

Jan Kazimierz z Bożej łaski król... Na wieczną rzecz pamiąg i dla wiadomości potomnych oznajmiamy: Król i królów szczęśliw.ś. o ile nie podniosła się w zawiązkach i rozwoju, tyleż zawdzięcza mądrości. Nie mogą bowiem władcy i narody nieczego poczynić lub dalej prowadzić z pomysłnością, jeżeli nie czynią tego przezornie. Co większa nie można po-deprzeć i utwierdzić stanu państwa, bez siły rozważy. To też tem bardziej słuszną jest rzeczą, aby ci, którzykolwiek wyznaczeni do rządzenia, kierują sprawami publicznymi, pielegnowali nauki, mistrzyni wykształcenia i rodzicielki, a zarazem karmicielki wszelkiej wiedzy wykwinniejszej...

(Wyjątek z aktu erekcyjnego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie z r. 1661).

Dnia 20 stycznia 1661 r., ukazał się akt erekcyjny króla Jana Kazimierza, mocą którego lwowskie Kollegium OO. Jezuitów podniesio zostało do godności Uniwersytetu. Akt erekcyjny Uniwersytetu Jana Kazimierza został wpisany do ksiąg Metryki Koronnej, jednakowoż Ojcowie Jezuitów, przez sto lat nie korzystali z łaski królewskiej i nie używali tytułu akademii oraz nie nadawali stopni doktorskich. Działo się to wskutek protestu Akademii Jagiellońskiej i zamojskiej, a zwłaszcza nie uzyskania aprobaty ze strony Kurji Apostolskiej. Poza tem stanowisko sejmku, w stosunku do nowej Akademii było nieprzychylnie.

Dziś, gdy mija 274 lat od chwili podniesienia Kollegium Jezuitów we Lwowie do godności uniwersytetu, nie od rzeczy będzie, rzucić garść faktów z przeszłości tej almae Matris Leopoliensis, jednej z najbardziej uświetnionych wyższych uczelni w Polsce. A dzieje Uniwersytetu Jana Kazimierza, to barwny kalejdoskop chwil wzniosłych i smutnych — to wstęga, na której wypisane są nazwiska świetlanych postaci polskich uczonych, że wymienię tylko takie — z okresu upadku nauki w całym kraju, z czasów najgorszych — jak Gahrjela Rzączyńskiego, Grodzickiego, Teeefila Rutki, Kaspra Niesieckiego, Grzegorza Piramowicza i in.

Akt erekcyjny Uniwersyteetu lwowskiego obejmował rozszerzenie nauk nie objętych filozofją i teologją, a więc naukę prawa i medycynę — „anatomję“ — jak wówczas zwano, oraz uprawniał do nadawania stopni naukowych, jak: laureatów, magisterjatów, licencjatów i doktoratów. Pomimo tego, że dopiero w 1661 r. Kollegium OO. Jezuitów podniesione zostało do stopnia akademii, wyższe studia istnieją we Lwowie zgóra 300 lat, bo wykłady św. teologii rozpoczęto już w 1559 roku, zaś pełny kurs filozofji rozpoczęto w 1613 r., które to wykłady trwały bez przerwy w Kollegium Jezuitów do roku 1773, a więc do chwili skasowania Zakonu OO. Jezuitów.

Rozszerzenie nauk w lwowskim Kollegium Jezuitów, przez dodanie wykładów prawa i medycyny, nastąpiło w pierwszej połowie XVIII wieku. Sięgamy do dzieła ks. Stanisława Załęskiego „Jezuici w Polsce“: w IV tomie tego dzieła na stronie 621, czytamy, że od r. 1661 do r. 1773 „wykładano w szkołach lwowskich te same nauki, co w akademii wileńskiej“. Toteż pierwsze dwa wieki studiów uniwersyteckich we Lwowie, wydały owocny plon w postaci dzieł naukowych, wyżej wspomnianych profesorów Uniwersytetu lwowskiego, jak wiele dzieł prof. Rutki w obronie unji, opis przyrody Polski i Litwy Rzączyńskiego, Grodzickiego dzieło o sztuce wojennej, Niesieckiego „Korona Polska“ i in.

Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie, przeszedł dwa ciężkie okresy, z których wyszedł jednak obronną ręką. Pierwszy okres, to czasy napaści Akademii Jagiellońskiej i zamojskiej, domagających się unieważnienia przywileju Jana Kazimierza, drugi okres, znacznie gorszy, to czasy niewoli, kiedy to w latach 1875—76

Wiedeń dążył do zwinienia tej placówki nauki polskiej. Przetrwała lwowska Alma Mater wszystkie urze i gromy, jakie walały się na nią w okresie wieków. Przetrwała ta kresowa warownia polskiej myśli i nauki i dziś obchodzi 274 rocznicę swego istnienia.

Nie tu miejsce, by opisywać dzieje tej uczelni. Kto ciekaw historii U. J. K., znajdzie ją w doskonałym dziele prof. Finkla i prof. Starzyńskiego St. p. t. „Historja Uniwersytetu lwowskiego“. Chciałbym jednak z okazji tej 274 rocznicy — rocznicy cichej, obchodzonej tylko w murach samej uczelni, przytoczyć wyjątki z aktu erekcyjnego, zamieszczonego w Księdze pamiątkowej prof. Finkla, z okazji 250 rocznicy założenia U. J. K., celem zaznajomienia czytelników z pewnymi charakterystycznymi ustępami tego dyplomu.

Po wstępie, który przytoczyłem jako motto, zaznacza król Jan Kazimierz w swym dyplomie erekcyjnym, że także nasi świętej pamięci poprzednicy, książęta i królowie polscy, wśród tylu krwawych bojów i zamieszek, nie zaniedbywali łagodnych i pokojowych Muz. Tak samo miłowali Palladę, odzianą w togę, jak i płaszczy wojenny, ten sam u nich duch na arenie bojowej i w palestrze. Przypuszczona i wpuszczona pod samo wprowadzenie Wiary Katolickiej i Królewskiej Korony sowa Minerwy rozsiadła się na gnieździe Lechickiego Orła, kiedy żadna wiedza prostoduszność książąt i dostojników już w czasach dawniejszych, niż władza królewska otworzyła Gimnazjum Gnieźnieńskie. Następnie, wypływające przez kilka wieków korzyści i obfite owoce wywołały u wielu tem większe pragnienie lepszego wykształcenia, im poważniejsza była nagroda...

Następnie powołując się na zasługi swoich przodków, wylicza król Jan Kazimierz wszystkie te uczelnie, jakie dzięki im powstały. Po tem wyliczeniu, następuje bardzo ciekawy i charakterystyczny ustęp przywileju: „Gdy zaś bardzo wiele na tem zależy, aby także w ruskich prowincjach i okolicach wznieść należąca część pełnemu wyznaniu prawdy i cnoty, z łatwością i chętnie postanowiliśmy, aby, za naszym pozwoleniem, Kollegium Lwowskiemu Towarzystwa Jezusowego przydana była godność akademii i udzielony tytuł Uniwersytetu. Dajemy zatem moc ustanawiania w tem Lwowskim Towarzystwa Jezusowego Kollegium Studium Generalnego wszelkiej dozwolonej wiedzy: Teologii, tak scholastycznej jak moralnej, Filozofji, Matematyki, obojga Praw Medycyny i Sztuk wyzwolonych, oraz

Następnie powołując się na zasługi swoich przodków, wylicza król Jan Kazimierz wszystkie te uczelnie, jakie dzięki im powstały. Po tem wyliczeniu, następuje bardzo ciekawy i charakterystyczny ustęp przywileju: „Gdy zaś bardzo wiele na tem zależy, aby także w ruskich prowincjach i okolicach wznieść należąca część pełnemu wyznaniu prawdy i cnoty, z łatwością i chętnie postanowiliśmy, aby, za naszym pozwoleniem, Kollegium Lwowskiemu Towarzystwa Jezusowego przydana była godność akademii i udzielony tytuł Uniwersytetu. Dajemy zatem moc ustanawiania w tem Lwowskim Towarzystwa Jezusowego Kollegium Studium Generalnego wszelkiej dozwolonej wiedzy: Teologii, tak scholastycznej jak moralnej, Filozofji, Matematyki, obojga Praw Medycyny i Sztuk wyzwolonych, oraz

Nauk i Umiejętności bez wyjątku wszystkich, których wymienieni Ojcowie Towarzystwa Jezusowego uważać będą za odpowiednie nauczać sami lub przez innych, według swego zdania i postanowienia, według zwyczajów i praktyki Akademii i Uniwersytetów. I stanowimy, aby to trwało po wieczne czasy, pod nazwą Uniwersytetu, Akademii“.

W dalszym ciągu zamieszczony jest w akcie erekcyjnym przywilej nadawania przez OO. Jezuitów wszystkich stopni naukowych, celem postawienia Uniwersytetu lwowskiego na poziomie i prawach Uniwersytetu Jagiellońskiego i Wileńskiego. Następnie w uznaniu zasług pedagogicznych OO. Jezuitów, znanych i uznanych w całym świecie, akt erekcyjny oddaje zarząd i kierownictwo Uniwersytetu lwowskiego zupełnie w ręce „pobożnych Ojców Towarzystwa Jezusowego“.

W końcu: „Przyrzekamy Naszemu i Naszych Najjaśniejszych Następcom imieniem, że My rzeczony Uniwersytet lwowski w tych wszystkich sprawach, które odnoszą się do jego całości, w powadze, sile i blasku zachowamy i bronieć będziemy. Co również Najjaśniejsi Następcy Nasi po wieki spełniać będą powinni“.

Następują podpisy, króla Jana Kazimierza i Stefana Hankiewicza — sekretarza królewskiego majestatu, oraz większa pieczęć Kancelarii Koronnej i data.

Tadeusz Kwaśniewski.

Nowe miasto Faraonów

Ziemia Faraonów kryje w swem wnętrzu jeszcze nieprzebrane skarby, posiadające ogromną wartość archeologiczną, a pozwalające nam zapoznać się bliżej z kulturą starożytnego Egiptu.

Toteż niema prawie roku, by uczeni

badacze nie odkopali spod piasków pustyni jakichś nowych zabytków. Poszukiwania prowadzone są obecnie z ramienia rządu egipskiego, pod kierunkiem znanego archeologa, profesora Selima Hassana.

W ciągu ostatnich kilku lat dały one

piękne, niemal sensacyjne wyniki.

Zanotować tu należy przedewszystkiem odkrycie czwartej piramidy, na południowy wschód od piramidy Kefrena i od Sfinksa. Piramida ta, zupełnie zasypana piaskiem, mieści wewnątrz grobowiec królowej Kent-Kawes, z czasów IV i V dynastji.

Radio w Bułgarii

Radio bułgarskie znajduje się jeszcze w powijakach. Bułgaria ma na razie stację nadawczą o sile 1,5 kw. Została wybudowana w r. 1929 przez bułgarskich pionierów radiowych bez pomocy państwa a koszty pokryły składki związku „Rodno Radio“. Stacja leży w odległości 2 kilometrów od Sofji. Siedziba jest mały budynek wybudowany z dochodów osiągniętych przez loteryję radiową. Studio znajduje się w mieście. Obie wieże wysokie mniej więcej na 60 metrów zostały przez trzech założycieli wybudowane własno ręcznie z żelaza a dyrekcja poczt dostarczyła paru starych maszyn, które dotąd pełnią służbę.

W ostatnich czasach rząd bułgarski wziął się energicznie do zorganizowania stacji i służby radiowej. Przy Generalnej Dyrekcji poczt powstał specjalny oddział radiowy. Stacja nadawcza w Sofji ma być wzmocniona i mają powstać dwie mniejsze stacje w Warnie i w Płowdiu, których budowa ma być ukończona w ciągu następnego roku. Przedsięwzięcie to jest jak na Bułgarię bardzo śmiałe wobec braku środków technicznych.

Dowodem tego, że radio bułgarskie znajduje się jeszcze w powijakach, jest fakt, że personel radiowy pełni swoją służbę bezpłatnie. Roczna opłata radiowa w kwocie 500 lewów pobiera nie radio, lecz państwo. Niema nawet dokładnej statystyki ilości słuchaczy i nie można sobie zdać sprawy, na jakie radio mogłoby liczyć dochody. Do niedawna liczbę abonentów radiowych szacowano na 8 tysięcy, ale obecnie podaje się cyfry 30.000 a nawet 120.000 co na ludność państwa 6-milionowego

stanowiłoby procent bardzo wysoki.

Z początkiem tego roku rząd bułgarski wyasygnował sumę 40 milionów lewów na wybudowanie nowej stacji nadawczej. Radio, które dotąd było przedsiębiorstwem — o ile można tutaj użyć tego słowa — przedsiębiorstwem prywatnym, stało się monopolem państwowym. Państwo posiada większość akcji i wywiera wpływ na układanie programów radiowych. Radio poddane zostało Instytutowi odrodzenia narodowego, który stanowi rodzaj ministerstwa propagandy i oświaty. Równocześnie opracowuje się ustawę radiową.

Radio bułgarskie, mając do dyspozycji wielką stację nadawczą, będzie mogło odegrać znaczną rolę w polityce radiowej Półwyspu Bałkańskiego. Jest rzeczą prawdopodobną, że nowa stacja nadawcza w Sofji narównie ze stacją włoską w Baari nadawać będzie audycje w języku greckim. Stacje te będzie słyhać i w Macedonii, znajdującej się obecnie w przeważającej części w rękach Jugosławji. Stacja w Bukareszcie nadaje również audycje greckie ze względu na 75 tysięcy Greków mieszkających w Rumunji.

Rumunja buduje obecnie nową wielką stację nadawczą w Braşowie, która będzie najsilniejszą stacją na Bałkanach i również obliczona jest na słuchaczy w Grecji. Grecja sama nie posiada dotąd własnej stacji nadawczej, a słuchacze greccy skazani będą na słuchanie produkcji z Bari, Sofji i Braşowa. Przypuszczają ogólnie, że i Grecja wreszcie wyjdzie ze stanu bierności i przystąpi do budowy własnej stacji nadawczej. (z.)

Jeszcze ciekawszem jednak było odkrycie całego miasta, znajdującego się w pobliżu. Miasto to było niewielkie, zamieszkane przez kapłanów i wysokich dostojników, a wnioskując z dotychczasowych wykopalisk, było to raczej „miasto umarłych“, niż żywych.

Wskazują na to liczne, doskonale dochowane, grobowce granitowe, podczas gdy domy mieszkalne, budowane z cegły, miały konstrukcję lekką i nietrwałą.

Nasuwa się zatem przypuszczenie, że zamieszkiwali je głównie kapłani i ludzie, do których należało spełnianie przepisanych rytuałów, jakim poddawano zwłoki.

Wskazuje na to również, i to przedewszystkiem, odnalezienie t. zw. „barki zmartwychwstania“, jedynego okazu tego rodzaju. Jak wiadomo, starożytni Egipcjanie symbolizowali pośmiertną podróż dusz dwiema barkami, z których pierwsza płynęła od wschodu na zachód, druga zaś, symbolizująca zmartwychwstanie, odbywała podróż swą nocą, w przeciwnym kierunku. Taką to właśnie barkę, drugiego typu, odkopał prof. Selim Hassan. Jest to statek długości 32 metrów, o wydłużonej wąskiej rufie, skierowanej ku wschodowi. W barce tej przewożono wyłącznie tylko zwłoki faraonów.

Wśród licznych grobowców, jakie udało się odkopać, znaleziono cały szereg doskonale zachowanych posągów i statuetek. Posągi zadziwiający precyzją wykonania i swoistym realizmem. Posągi dostojników dworskich, jak zarządcy pałacu królewskiego, dyrektora stajen królewskich i t. p. Bardzo ciekawa jest rzeźba, wyobrażająca służebnicę, zajętą warkowaniem ciasta, rzeźba, pełna realizmu i życia.

Prace, rozpoczęte w roku 1929, przyniosły już dotychczas plon bardzo bogaty. Trwają one w dalszym ciągu, pozwalając przypuszczać, że jeszcze niejedną tajemnicę uda się wydrzeć piaskom pustyni.